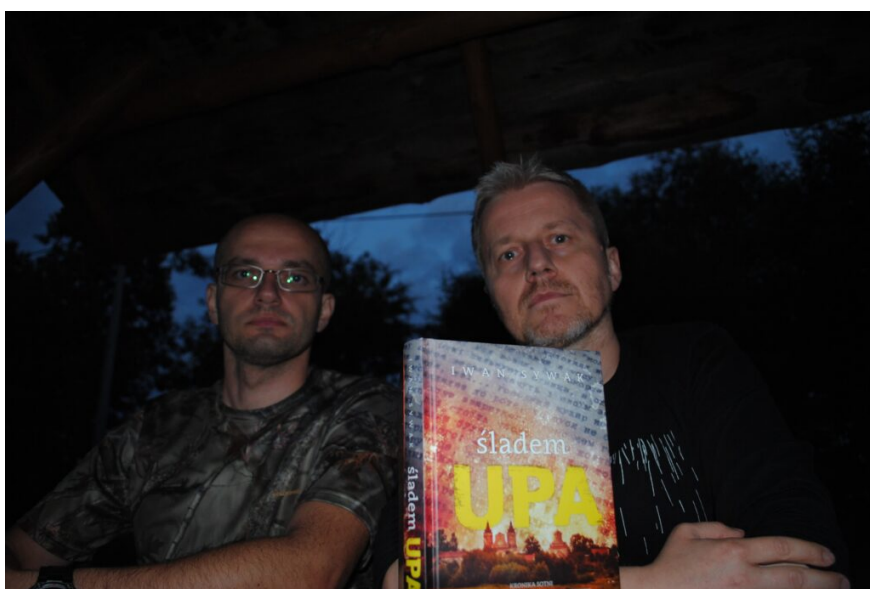


Część druga: Nauka i edukacja historyczna pod specjalnym nadzorem! (rozmowę z dr. Mariuszem Sawą, autorem książki Śladem UPA. Kronika sotni Ukraińskiej Powstańczej Armii „Wowky” (24 sierpnia 1944 – 11 lipca 1945), przeprowadził dr Mariusz Zajączkowski, ISP PAN)



C
ę
ś
ć
d
r
u
g
a
:
N
a
u
k
a
i
e
d
u
k
a
c
j
a
h
i
s
t
o
r

yc
zn
a
po
d
sp
ec
ja
ln
ym
na
dz
or
em
!
(r
oz
mo
wę
z
dr
.
Ma
ri
us
ze
m
Sa
wą
,
au
to
re
m
ks
ią
żk

**i
Śl
ad
em
UP
A.
Kr
on
ik
a
so
tn
i
Uk
ra
iń
sk
ie
j
Po
ws
ta
ńc
ze
j
Ar
mi
i
„W
ow
ky
”
(2
4
si
er
pn**

ia
19
44
—
11
li
pc
a
19
45
) ,
pr
ze
pr
ow
ad
zi
ł
dr
Ma
ri
us
z
Za
ją
cz
ko
ws
ki
,
IS
P
PA
N)
[1
]

Mariusz Zajączkowski: Ponownie gościem portalu ohistorie.eu jest dr Mariusz Sawa. Witam Pana bardzo serdecznie.

Mariusz Sawa: Dzień dobry.

M.Z.: Dzisiaj chciałbym porozmawiać z Panem o zagadnieniu, które jest równie interesujące jak Pańska książka *Śladem UPA. Kronika sotni Ukraińskiej Powstańczej Armii „Wowky” (24 sierpnia 1944–11 lipca 1945)*[2]. To znaczy o polsko-ukraińskim konflikcie pamięci. Znajduje on odbicie między innymi w upamiętnieniach tragicznych wydarzeń z lat czterdziestych minionego stulecia, jakie możemy spotkać na ziemi hrubieszowskiej i tomaszowskiej. Również temu konfliktowi poświęcił Pan uwagę w swojej książce. Można chyba powiedzieć, że wiązały się z nim też trudności, jakie napotkał Pan, chcąc ją wydać w IPN. Kwestia ta wydaje się istotna także z tego względu, że ma nie tylko wpływ na pamięć obu społeczności w wymiarze lokalnym, ale i przełożenie na tzw. politykę historyczną obu krajów – Polski i Ukrainy. W czasie objazdów terenowych lub kiedy przemierzamy pieszo albo rowerem urokliwe okolice południowo-wschodniej Lubelszczyzny, oprócz pozostałości ukraińskiej kultury materialnej (cerkwi, cmentarzy, krzyży przydrożnych), natrafiamy na polskie i ukraińskie upamiętnienia tragicznego losu mieszkańców tej ziemi dotkniętych krwawym konfliktem narodowościowym w okresie okupacji niemieckiej i we wczesnych latach powojennych. W związku z powyższym w jaki sposób historyk powinien pisać dla szerszego grona odbiorców o złożonych relacjach polsko-ukraińskich, w tym o działalności OUN-B i UPA, o konflikcie etnicznym, którym w latach 1939–1947 zostały objęte nie tylko obszar wschodniej Lubelszczyzny, ale przede wszystkim Wołyń i Galicja Wschodnia, w końcu o konflikcie wewnętrznym, który podzielił obywateli jednego państwa – II Rzeczypospolitej w czasie wojny, a we wczesnych latach powojennych Polski „lubelskiej”? Jak konstruować rzetelny i bezstronny przekaz o tamtych wydarzeniach? Jakiego języka używać do opisu złożonych, często tragicznych losów jednostek i całych

społeczności, różnych pod względem narodowości, wyznania czy światopoglądu?

M.S.: W pewnym momencie zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle jest sens pisanie dla szerszego grona odbiorców, czy nie lepiej zamknąć się we własnym kręgu.

M.Z.: Do kogo zatem kieruje Pan swoją książkę?

M.S.: Do szerszego grona odbiorców, ale właśnie zanim ta książka się ukazała, już się zacząłem zastanawiać, czy nie pisać po prostu nie tyle dla samego siebie, ile dla kilku osób, które zgłębiają ten temat, zamknąć się w zaciszu archiwów, bibliotek, następnie pojechać z książką w celu prezentacji na konferencję naukową, ale nie wychodzić z tym do ludzi. Problem tkwi w tym, jak opowiadać o UPA niehistorykom oraz historykom, którzy w jakiś sposób są zaangażowani w życie publiczne, a niektórzy w polityczne, realizując założenia „polityki historycznej” państwa. Kiedyś na jednym z forów internetowych, bodajże na Facebooku, poświęconych jednej z wsi opisanych w książce (Cichobórz), starły się dwie pamięci dotyczące lat czterdziestych XX w. i stosunków polsko-ukraińskich w tej miejscowości i okolicy. Przy jakiejś okazji wspomniałem o postaci Iwana Niewiadomskiego „Jurka”, jednego z ostatnich partyzantów ukraińskich w powiecie hrubieszowskim, którego zdjęcie zaprezentowałem w swojej publikacji. Widnieje ono zresztą na okładce Pańskiej książki *Pod znakiem Króla Daniela*. „Jurko” pochodził z Cichoborza. Zналиśmy nawet obaj jego małżonkę, która do śmierci mieszkała w sąsiednim Ślipczu. Od jednej z osób uczestniczących w dyskusji na wspomnianym forum internetowym otrzymałem krótką wiadomość: „A mi »Jurko« zamordował dziadka”. Cóż można więcej powiedzieć i jak dyskutować, na jaki poziom delikatności trzeba wejść, żeby kogoś przez przypadek nie urazić? Znalazłem się również w takiej sytuacji, kiedy jedna pani powiedziała mi: „Basaj zamordował mi dziadka”. Dotykamy wówczas ludzkiej wrażliwości i pamięci rodzinnej.

M.Z.: Pamięci jednostkowej.

M.S.: Jednostkowej, a nawet postpamięci, bo to już nie mówią świadkowie tamtych wydarzeń, lecz kolejne pokolenia, drugie albo trzecie pokolenie, i ten przekaz jest coraz bardziej upraszczany i obrasta w mity, ewentualnie jest wtłaczany przez niektóre osoby w jakiś schemat, który mało ma wspólnego z rzeczywistością sprzed ponad siedemdziesięciu lat. Z kolei historyk, który stara się rzetelnie opisać tamtą rzeczywistość na podstawie wielowątkowych źródeł i pokazać te dylematy moralne i światłocienie, jest oskarżany o...

M.Z.: Taką czy inną rację stanu?

M.S.: Działanie na rzecz lub wbrew takiej czy innej racji stanu. Nagminne pytanie, z jakim bardzo często się spotykam, pisząc zarówno o UPA, jak i zbrodni polskiego podziemia w Sahryniu, brzmi: „Czy jesteś Ukraińcem?”.

M.Z.: Jakby to miało znaczenie?

M.S.: Jakiegokolwiek znaczenie... Pytanie skierowane do autora publikacji o narodowość, ponieważ komuś nie podoba się zawarty w niej przekaz, gdyż nie wpisuje się on w jednostronną narrację narodową, w zasadzie zamyka merytoryczną dyskusję. Rozbijamy się więc o wydawałoby się kuriozalne problemy, ale niestety tak nie jest. Badacze zajmujący się tematyką konfliktów narodowościowych, w tym przypadku konfliktem polsko-ukraińskim, mają pełną świadomość, że piszą w określonych realiach politycznych w naszym kraju i sytuacji geopolitycznej w regionie. Mogą na przykład przeczytać w „Przeglądzie Bezpieczeństwa Wewnętrznego”, redagowanym przez pracowników i współpracowników Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, o wojnie hybrydowej, której jednym z elementów jest batalia informacyjna tocząca się o pamięć o konkretnych wydarzeniach z przeszłości. Najczęściej takich, które do dziś budzą kontrowersje i wywołują żywe, niekiedy wręcz burzliwie dyskusje wśród historyków, publicystów, polityków, a nawet

przeciętnych obywateli w naszym kraju, gdzie poziom zainteresowania historią najnowszą w części społeczeństwa jest dość wysoki. Jednocześnie historycy badający konflikty między etnicznymi Polakami a współobywatelami wywodzącymi się z mniejszości narodowych, etnicznych czy wyznaniowych z pierwszej połowy XX w. piszą i publikują jako polscy obywatele, niektórzy jako pracownicy instytucji państwowych realizujących nakreślone przez władze tezy „polityki historycznej”. Niestety owa „polityka historyczna” ma niewiele wspólnego z rzetelnym i obiektywnym uprawianiem nauki oraz wolnością badań historycznych.

M.Z.: Mówimy tutaj o tzw. polsko-ukraińskiej wojnie pomnikowej, która jest widoczna w terenie. Upamiętnienia, niekiedy symboliczne, dotyczą okoliczności wydarzeń z tego samego okresu, lecz podkreślają martyrologię tylko jednej ze stron konfliktu narodowościowego, w zależności od jego aktorów polskiej lub ukraińskiej.

M.S.: Kiedyś prof. Grzegorz Motyka słusznie zauważył, że nie jest to wyłącznie polsko-ukraiński konflikt pamięci, lecz także konflikt pamięci wewnątrzpolski. Konflikt między różnymi interpretacjami i podejściami do omawianego zagadnienia wśród polskich historyków, który znajduje odbicie w przestrzeni publicznej. Na gruncie tematyki poruszonej w książce *Śladem UPA* odwołałbym się do dwóch miejsc w Hrubieszowskim, gdzie wzniesiono upamiętnienia. Jedno z nich jest związane z datą 26 lutego 1946 r. Doszło wtedy do boju pod Liskami (w lesie Czepycz) między oddziałem niszczycielskim 64 Dywizji Wojsk Wewnętrznych NKWD a oddziałami UPA „Wowky I” i „Wowky III”, wywodzącymi się z sotni „Wowky” i WOP OUN-B „Zirki”, oraz tzw. oddziałem goszczącym „Hałajda II”, który wiosną 1945 r. przybył na Chełmszczyznę z USRR. W tym czasie wspomniane oddziały UPA wchodziły w skład kurenia „Wowky”. Banderowcy ponieśli w boju pod Liskami druzgocącą klęskę. Zginęło w nim kilkudziesięciu partyzantów, których okoliczna ludność ukraińska pochowała na uroczysku Białyrostok, przy dawnym

cerkwisku, w miejscu kultu greckokatolickiego (Matki Boskiej Cierpiącej). Tam też spoczywają do dziś.

M.Z.: Dodajmy, że wspomniany bój UPA z NKWD rozegrał się w pobliżu miejscowości, w której niespełna rok wcześniej stracił życie Stanisław Basaj „Ryś” wraz z trzema członkami osobistej ochrony, w tym jednym pracownikiem hrubieszowskiego UB, z którym Basaj współpracował po lipcu 1944 r. Dowodzi to jedynie zawiłości losów aktorów konfliktu polsko-ukraińskiego.

M.S.: Jedna z wersji dotyczących miejsca pochówku „Rysia” mówi o drzewie lub studni we wsi. Mogiła UPA znajduje się natomiast kilkaset metrów za nią. Krzyż na mogile stał tam prawdopodobnie od końca lat czterdziestych. Na uroczysku Białystok na początku lat pięćdziesiątych społeczność ukraińska z Polski i Ukrainy, w tym dawni partyzanci UPA, ustawiła krzyż czy też wzniosła upamiętnienie, które później zostało rozbudowane o kamienny obelisk i elementy metalowe. Kilka lat temu zostało ono zdewastowane. Na obelisku wypisano datę 11 lipca 1943 r., czyli odnoszącą się do kulminacyjnej fazy akcji antypolskiej OUN-B i UPA na Wołyniu. Ponadto skuto pseudonimy poległych upowców, którzy zostali wymienieni na obelisku, jak również napis „Poległym za wolność Ukrainy” czy „w walce o wolność Ukrainy”. Do dziś ten grób partyzancki, gdyż – co należy podkreślić – nie jest to upamiętnienie symboliczne, nie został odbudowany. Oficjalnie nie jest uznawany za grób wojenny przez Lubelski Urząd Wojewódzki, mimo że spełnia kryteria określone dla grobów i cmentarzy wojennych w ustawie. Drugim takim miejscem sporu o przeszłość czy obrazem innego rozumienia tejże przeszłości jest cmentarz w Szychowicach, gdzie spoczywają nie tylko członkowie sotni „Wowky”, lecz także innych oddziałów ukraińskich, którzy w końcowym okresie okupacji niemieckiej polegli w walce z polskim podziemiem, a po lipcu 1944 r. walcząc przeciwko różnym sowieckim i polskim formacjom policyjnym i wojskowym. Tam również znajduje się napis „Poległym za wolność Ukrainy”. Jeden z lokalnych działaczy społecznych, mjr rez. dr Marek

Gaska, były wykładowca Akademii Obrony Narodowej w Warszawie, kilkanaście miesięcy temu zgłosił do prokuratury treść napisu, gdyż w jego ocenie uderza ona w Polskę i polską rację stanu. Istnieją zatem na terenie województwa lubelskiego pomniki, które wywołują kontrowersje, emocje i spory.

M.Z.: Może owe konflikty potęguje to, że ukraińskie upamiętnienia były stawiane bez zgody władz lokalnych?

M.S.: W przypadku Białegostoku mogliśmy w pewnym stopniu zgodzić się z taką interpretacją, gdyż nie był to cmentarz. Natomiast mogiła w Szychowicach znajduje się na cmentarzu prawosławnym. Zatem należy zadać pytanie, czy w ogóle można kwestionować legalność mogił. Mogiła pod Liskami to grób wojenny skrywający szczątki osób, które straciły życie, walcząc z reżimem komunistycznym w pojałtańskiej Polsce, reżimem wspieranym wydatnie przez sowiecki aparat represji i wojsko. Jest to zatem upamiętnienie podlegające opiece państwa polskiego, zarówno w osobie wojewody lubelskiego, jak i właściwej instytucji państwowej, czyli IPN.

M.Z.: Pomijając regulacje prawne dotyczące grobów wojennych, trzeba wyraźnie podkreślić, że należy pochylić się ze stosownym szacunkiem nad każdą śmiercią, każdą ofiarą, niezależnie od jej narodowości, wyznania, przynależności organizacyjnej czy politycznej. Innymi słowy, upamiętnienie (w tym przypadku krzyż) przysługuje każdemu w miejscu jego pochówku. Niemniej pojawia się wątpliwość, jakie upamiętnienie powinno się traktować jako mogiłę wojenną, która podlega opiece państwa, na terytorium którego się znajduje. Czyba istnieją w Polsce odpowiednie przepisy czy umowy międzynarodowe regulujące ten stan?

M.S.: Badałem tę sprawę bardzo szczegółowo, więc z pełnym przekonaniem stwierdzam, że mogiła członków UPA pod Liskami jest grobem wojennym w świetle polskiego prawa i powinna podlegać opiece państwa polskiego. Regulują to co najmniej dwa akty prawne: Ustawa o grobach i cmentarzach wojennych z 28

marca 1933 r. oraz Umowa między Rządem Rzeczypospolitej Polskiej a Rządem Ukrainy o ochronie miejsc pamięci i spoczynku ofiar wojny i represji politycznych, sporządzona w Warszawie 21 marca 1994 r. Nie wiem, co się stanie z tym zdewastowanym miejscem. Wiem, że ta mogiła jest zlokalizowana na działce prywatnej. Istnieje zatem pole do dalszych działań, mimo że to miejsce nie jest tak znane jak upamiętnienia na Podkarpaciu, jak to na górze Monasterz w pobliżu Werchraty czy w Hruszowicach.

M.Z.: Upamiętnienie na cerkwisku w Monasterzu zostało wzniesione również na mogile partyzantów UPA, którzy w marcu 1945 r. polegli w tej okolicy w walce z Wojskami Pogranicznymi NKWD. W odróżnieniu od upamiętnienia w Liskach powstało ono po dwustronnych polsko-ukraińskich uzgodnieniach dotyczących treści tablicy pamiątkowej. Mimo to po dewastacji ukraińskiego upamiętnienia przez „nieznanych sprawców” w 2015 r. nie przywrócono pierwotnej treści tablicy.

M.S.: Natomiast w odniesieniu do pytania, jakiego języka używać do opisu konfliktu narodowościowego i działalności podziemia ukraińskiego, stoję na stanowisku, że przede wszystkim języka nienacechowanego emocjonalnie, który nie stanowi powielenia języka źródeł. To oczywiście nie jest łatwe, gdyż obracamy się w kręgu konkretnych opowieści o przeszłości. Mnie samemu niekiedy trudno wyzbyć się pewnych nawyków, ale nie możemy popadać w skrajności. Ostatnio w ukraińskim internecie natrafiłem na sformułowanie „arystokrata ducha” odnoszące się do Romana Szuchewycza „Tarasa Czuprynki”, naczelnego dowódcy UPA, który w okresie 1943–1950 stał również na czele struktur politycznych podziemia ukraińskiego. Osoby odpowiedzialnej między innymi za masowe zbrodnie popełnione przez OUN-B i UPA na ludności polskiej na obszarach objętych konfliktem narodowościowym (1943–1945). Wspomniane sformułowanie jest klasycznym przykładem hurratriotyzmu, bezrefleksyjnej heroizacji jednostki, niemal przypisywania jej cech świętości. A jednocześnie to dowód na brak świadomości i

elementarnej wiedzy o Szuchewyczu, którego czyny uznawane za chlubne przez tzw. strażników pamięci o podziemiu banderowskim dla innych, szczególnie potomków społeczności dotkniętej aktami terroru ze strony tego podziemia, są niezwykle kontrowersyjne i nie do przyjęcia.

M.Z.: Z kolei na gruncie polskim w ostatnich kilku latach obserwuje się postępujący proces odejścia od niezależnej nauki (analizy krytycznej) na rzecz zadekretowanej przez państwo bezkrytycznej narracji patriotycznej (w istocie nacjonalistycznej), którą określa się mianem polityki historycznej. Można chyba mówić tutaj o swoistym odrodzeniu się po 2015 r. w sferze polityki wobec pamięci w Polsce immanentnych cech peerelowskiego moczaryzmu (patriotycznej narracji komunistycznej z lat sześćdziesiątych XX w.). Proces ten jest szczególnie widoczny wśród niektórych zawodowych historyków zatrudnionych w instytucjach państwowych, które zajmują się realizacją założeń polityki historycznej w przestrzeni publicznej. Są oni często stawiani przed wyborem: czy prowadzić badania naukowe w zgodzie z etyką zawodową i warsztatem historyka, w zgodzie z przysięgą doktorską w przypadku osób mających stopnie i tytuły naukowe, czy może bardziej jako urzędnicy państwowi realizować bez zastrzeżeń założenia propagandy historycznej wpisujące się w nurt „pedagogiki dumy” (bezkrytycznej narracji o wyłącznie bohaterkiej i martyrologicznej przeszłości narodu), która jest stawiana w opozycji do „pedagogiki wstydu” (historii krytycznej). Tym samym być w zgodzie z obowiązującą wykładnią polityczną. To znaczy czy upowszechniać w swoich publikacjach zadęcie ideologiczne, jednostronną narrację narodową i wyłącznie heroiczno-martyrologiczno-nostalgiczne podejście do dziejów własnego narodu, określane „wstawaniem z kolan”, czy przeciwnie, prezentować podejście krytyczne, charakterystyczne dla dojrzałej postawy obywatelskiej, pozbawione kompleksów. Postawy gotowości do zmierzenia się i jednocześnie rozliczenia z nie zawsze chlubną i krystalicznie czystą przeszłością własnego narodu, w której obok chwalebnych czynów można

odnaleźć i te wstydliwe. Bez zamykania „czarnych kart” polskiej historii pod dywan, bez zamykania w szafach „trupów” przeszłości, które z czasem powrócą, lecz ze zdwojoną siłą. Przy tym stosować język naukowy, a jednocześnie niehermetyczny, aby móc konstruować narrację niezaangażowaną, merytoryczną, przejrzystą i zrozumiałą. Niestety nie wszyscy historycy zatrudnieni w urzędach państwowych wytrzymują próbę czasu i charakteru, nie wszyscy też zdają egzamin z przyzwoitości.

M.S.: W moim przekonaniu podstawowym problemem jest to, że aktualny dyskurs publiczny o przeszłości został oparty wyłącznie na jednostronnej pamięci i edukacji narodowej, a nie na przekazie obiektywnym, rzetelnym naukowo i bazującej na nim edukacji historycznej z prawdziwego zdarzenia. Jest to również dyskurs władzy: my dobrzy, oni źli, my bohaterowie bez skazy i ofiary, oni nikczemni bandyci i sprawcy zbrodni. Doskonałym przykładem *stricte* komercyjnego, dalece nierzetelnego, jednostronnego i przede wszystkim nienaukowego przekazu o konflikcie polsko-ukraińskim, który ma w istocie charakter zaangażowanej publicystyki, są publikacje Marka Koprowskiego. Autor ten dotykał w swoich publikacjach między innymi problematyki konfliktu narodowościowego na wschodniej Lubelszczyźnie. Koprowskiego przedstawia się jako historyka, choć nim nie jest. Kreuje się go na autora publikacji opartych na szerokiej kwerendzie archiwalnej, bogatym korpusie źródeł i najnowszej literaturze przedmiotu. Podczas gdy wspomniany autor nie wykonał praktycznie żadnej kwerendy archiwalnej, nie zna też nie tylko najnowszej, lecz także podstawowej literatury przedmiotu. Co więcej, Koprowski przypisuje ukraińskiemu podziemi zbrodni, których ono nie popełniło, między innymi będące dziełem komunistów. Udało mi się takie przypadki ustalić. Przykładowo zbrodnię popełnioną przez funkcjonariuszy komunistycznego Urzędu Bezpieczeństwa w nocy z 3 na 4 marca 1945 r. w Hrubieszowie na szesnastu mężczyznach przypisał UPA. Podobnie ze zbrodnią dokonaną przez NKWD lub UB 10 czerwca 1945 r. w Kolonii Staszic. W tym przypadku na konto

upowców zaliczył 47 dodatkowych ofiar. Ponadto fałszuje niektóre dane, nawet liczbowe, dotyczące konkretnych faktów, zbrodni i ofiar. Bez wyczucia kontekstu, nadużywając pojęć i epitetów wartościujących wobec niektórych osób, stajemy się mniej wiarygodni. Natomiast co do opisu konkretnych wydarzeń dobrym przykładem, w jaki sposób można starać się pisać nieemocjonalnie, kierując swój przekaz, swoją opowieść do ludzi niebędących historykami, są na przykład publikacje historyka i antropologa historycznego Jarosława Syrnyka. Opisuje on kwestie stosunków polsko-ukraińskich w Bieszczadach, mówiąc o zabójstwach, nie o likwidacji, o zbrodni, nie o rozstrzelaniu. Wspomniany autor jest autochtonem, osobą wywodzącą się z tamtych terenów, osobą o korzeniach ukraińskich. Osobą o wyjątkowej wrażliwości pod tym względem. Co moim zdaniem jest jeszcze istotne: abyśmy, tak jak już mówiliśmy wcześniej, nie mieszały pojęć z historii, etyki i nauk prawnych w jednej opowieści i jasno je rozgraniczali. Informowali czytelnika, że w danym miejscu posługujemy się językiem i operujemy metodą charakterystyczną dla nauk historycznych, w innym zaś opowiadamy o kwestiach moralnych i operujemy pojęciami z dziedziny etyki – wina, odpowiedzialność, sumienie, przebaczenie, pojednanie, które w dyskursie publicznym są nieustannie mieszane. Niemniej pojęcia z dziedziny etyki czy nauk prawnych, spór o to, czy coś było zbrodnią ludobójstwa, zbrodnią przeciwko ludzkości czy zbrodnią wojenną, w moim przekonaniu również trzeba jasno pokazywać. Ciekawą tezę zaprezentował kiedyś publicysta ukraiński Bogdan Huk, że jesteśmy wychowani na propagandzie nacjonalistycznej i trudno jest nam wyzbyć się polono- czy ukrainocentryzmu. To jest fakt, bo jeżeli piszemy o stosunkach polsko-ukraińskich, tak jak w moim przypadku, to niekiedy tracimy z oczu nie tylko kontekst polski czy ukraiński tych stosunków, lecz także szerszą perspektywę, kontekst europejski. Można wówczas popaść nieświadomie w poczucie wyjątkowości. Być przeświadczonym, że stosunki polsko-ukraińskie i konflikt polsko-ukraiński był na tle europejskich konfliktów XX w. czy II wojny światowej czymś wyjątkowym.

M.Z.: Z pewnością był czymś wyjątkowym dla uczestników tamtych wydarzeń, a przede wszystkim dla ofiar i ich rodzin. To zawsze trzeba mieć z tyłu głowy. Oczywiście rozumiem potrzebę przedstawiania szerszego kontekstu historycznego czy społecznego tamtych tragicznych wydarzeń, ale często schodząc do poziomu jednostki i jej pamięci, mówiąc o konflikcie pamięci zwaśnionych w przeszłości społeczności czy całych narodów, o wojnie pomnikowej, niezrozumieniu, braku chęci zrozumienia, musimy zdawać sobie sprawę, że mamy do czynienia przede wszystkim z traumatycznym doświadczeniem jednostki. Kogoś, kto stracił bliskich, został bezpośrednio doświadczony konfliktem narodowościowym; dla niego często jest to najważniejsze, a jednocześnie najtragiczniejsze doświadczenie życiowe i jego potomkowie kultywują od kilku pokoleń pamięć o tym doświadczeniu. Takich osób raczej nie interesują szerokie konteksty, lecz przeważnie bardzo wąska perspektywa. Najczęściej nie patrzą na konflikt polsko-ukraiński z lotu ptaka, ale przez pryzmat własnych doświadczeń, doświadczeń rodziny. Zatem jak do nich dotrzeć z takim przekazem jak Pański?

M.S.: Spróbować nakłonić przedstawicieli zwaśnionych stron, aby usiedli przy jednym stole, aby opowiedzieli sobie własne historie rodzinne związane z konfliktem narodowościowym. Aby jeden mówił, że dziadka zamordował mu Iwan Niewiadomski „Jurko”, drugi, że uczynił to samo z jego bliskim Stanisław Basaj „Ryś”. Naturalną rolą historyka jest wejść w ten konflikt pamięci i starać się pokazywać wielowątkowość, a jednocześnie zachęcać do empatii wobec drugiej strony i eliminowania z narracji etnocentrycznego podejścia do konkretnej zbrodni.

M.Z.: Wydaje się, że przedstawił Pan jedynie idealny scenariusz rozwiązywania nabrzmiałych przez dziesiątki lat wzajemnych niechęci. Rzeczywistość jest niestety bardziej złożona. Na pamięć jednostki czy określonej zbiorowości nakładają się również wieloletnie klisze, stereotypy, przekazy

rodzinne, przekazy środowiskowe, wreszcie propaganda historyczna z okresu PRL, a także ta obecna. To wszystko ma ogromne znaczenie dla odbioru przekazu niezależnego historyka, wyraźnie niewpisującego się w narrację środowiska reprezentującego sposób myślenia i pamięci osób bezpośrednio doświadczonych konfliktem polsko-ukraińskim. Nie każdego bowiem stać na refleksję, wybaczenie i pojednanie.

M.S.: Nie neguję, że środowisko, w jakim się wychowywałem, rozmowy z ludźmi, których znałem, nie rzutują w żaden sposób na to, w jaki sposób podchodzę do problematyki związanej z działalnością UPA czy do relacji polsko-ukraińskich na Chełmszczyźnie. Tego się nie wypieram i z tym się nie ukrywam. Myślę, że to jasno powinien historyk ujawniać, powinien jasno mówić o tym, z jakiej pozycji zabiera głos. Natomiast historyk może moim zdaniem skutecznie próbować dyskutować z tymi, którzy w przestrzeni publicznej prezentują konkretną wizję stosunków polsko-ukraińskich czy też tworzą określone mity na temat przeszłości i są przekonani o podmiotowości jednostek, grup czy formacji zbrojnych, które brały udział w konflikcie polsko-ukraińskim i do których oni się odwołują, których dziedzictwo uważają za swoje. Choćby przypadek tzw. powstania zamojskiego, które rzekomo zatrzymało niemieckie wysiedlenia. To jest przekonanie o własnej podmiotowości.

M.Z.: Mit „powstania zamojskiego” to jedynie wyobrażenie, historia życzeniowa, która nie ma nic wspólnego z wydarzeniami na Zamojszczyźnie w latach 1942–1943. Do zimy 1942/1943 r. AK nie rozwijała ruchu partyzanckiego, a wcześniejsze akcje dywersyjno-sabotażowe na terenie GG starała się prowadzić w taki sposób, aby nie wywoływać niemieckich represji w stosunku do ludności polskiej. Nawet po rozpoczęciu przez Niemców przymusowych wysiedleń na Zamojszczyźnie wywołany nimi spontaniczny opór chłopów kierownictwo polskiego podziemia starało się ograniczać jedynie do lokalnej kontrakcji, głównie do akcji samoobronnych. Sam termin „powstanie zamojskie” został ukuty przez propagandę niemiecką w celu uzasadnienia

masowego terroru wobec ludności Zamojszczyzny. W Komendzie Głównej AK doskonale zdawano sobie sprawę, że w realiach 1943 r. jakiegokolwiek antyniemieckie wystąpienia o szerszym zasięgu na terenach okupowanych (przedwczesne powstanie), sprowokowane przez Niemców czy przez „akcję bolszewicką” (działalność partyzantki komunistycznej), nie mają realnych szans powodzenia i mogą przynieść jedynie ogromne straty wśród polskiej ludności. Niestety od pewnego czasu niektórzy politycy, zwłaszcza ci o silnym napięciu ideologicznym, oraz urzędowi historycy angażują się w utrwalanie mitu o „powstaniu zamojskim”, nie mając nawet świadomości, że to „powstanie” istniało jedynie w umyśle specjalistów do spraw propagandy brunatnego reżimu III Rzeszy. Tym samym owi dzisiejsi krzewiciele starego mitu wykazują się porażającym brakiem elementarnej wiedzy historycznej oraz nieznaną źródła i najnowszej literatury przedmiotu. Krótko mówiąc, mamy do czynienia z niedouczonej zaklinaczami faktów historycznych, którzy starają się propagować w przestrzeni publicznej fałszywy przekaz o przeszłości własnego narodu w celu zdobycia poklasku i kapitału politycznego na przyszłość.

M.S.: Dodajmy, mowa tutaj o politykach z wykształceniem historycznym lub prawnym, w tym o nauczycielach akademickich. Taka sytuacja sprzyja także mitotwórstwu na temat „powstania antykomunistycznego 1944–1963” w Polsce i lukrowanej historii „żołnierzy wyklętych”. Z kolei podobna aktywność ukraińskich strażników pamięci o podziemiu banderowskim przynosi wyidealizowany przekaz o „neskorenych” partyzantach UPA i członkach OUN-B, czyli o ukraińskich „niezłomnych”. Historyk wchodzi w konflikt z tego typu narracjami nie tylko na poziomie publikacji naukowych czy tekstów publicystycznych, ale też na poziomie upamiętnień, w tym szczególnie obiektów symbolicznych. Mamy na przykład bojówkę OUN-B, której członkowie weszli w skład sotni „Wowky” w połowie marca 1944 r. Bojówkę, która w nocy z 14 na 15 marca 1944 r. zamordowała na stacji w Gozdowie około 30 osób, w większości pracowników kolei. Wydarzenie to jest upamiętnione w Gozdowie tablicą. Jej

tekst zawiera nazwiska osób „zamordowanych przez bandy UPA”. Czyli mamy tu dwa przekłamania, bo UPA nie była bandą i nie ona dokonała tej zbrodni, lecz bojówka OUN-B. Jeśli więc chodzi o język, musimy być jak najbardziej precyzyjni, zwłaszcza gdy mowa o treści tablic upamiętniających. Używany na nich język powinien być pozbawiony uproszczeń, eufemizmów, niedopowiedzeń...

M.Z.: Często na tablicach, które dotyczą mało chwalebnych czynów, brakuje podmiotowości ofiar i precyzyjnych informacji o sprawcach.

M.S.: Problem ten dotyczy zarówno polskich, jak i ukraińskich upamiętnień. Niedopowiedzenia odnoszą się do Polaków wymordowanych w latach 1943–1944 przez OUN-B i UPA na Wołyniu i w Galicji Wschodniej z jednej strony, z drugiej zaś Ukraińców wymordowanych przez AK i BCh na Chełmszczyźnie, choćby w Sahryniu.

M.Z.: To samo dotyczy na przykład upamiętnienia ukraińskich, białoruskich czy żydowskich ofiar polskiego podziemia nacjonalistycznego (NSZ i NZW), które zginęły w latach 1945–1946 na Lubelszczyźnie, Rzeszowszczyźnie czy Białostocczyźnie z rąk podkomendnych Mieczysława Pazderskiego „Szarego”, Józefa Zadzińskiego „Wołyniaka” czy Romualda Rajsa „Burego”.

M.S.: Tak, w Wierzchowinach jest mowa o ofiarach jako prawosławnych mieszkańcach wsi.

M.Z.: Dodajmy, że byli nimi również Badacze Pisma Świętego pochodzenia ukraińskiego, którzy zostali wymordowani 6 czerwca 1945 r. razem z większością prawosławnych mieszkańców wsi. Niestety z treści tablicy widniejącej na upamiętnieniu w Wierzchowinach nie dowiemy się ani o tym, ani z czyjej ręki stracili życie ukraińscy chłopi.

M.S.: Stajemy przed dylematem, jak dalece powinniśmy zagłębiać się w szczegóły dotyczące przekazu o danej zbrodni

zamieszczonego na tablicy upamiętniającej, gdyż powinien on być syntetyczny i zrozumiały dla przeciętnego odbiorcy, choćby turysty, który w czasie swojej podróży czy wędrówki trafia przypadkiem do konkretnej miejscowości, gdzie napotyka grób masowy ofiar konkretnej zbrodni. Czy powinniśmy na przykład w przypadku zbrodni w Chłaniowie i Władysławinie z lipca 1944 r. zamieścić informację, że brali w niej udział członkowie Ukraińskiego Legionu Samoobrony, który tworzyli byli partyzanci OUN Andrija Melnyka z Wołynia?

M.Z.: Zbrodnie w Chłaniowie i Władysławinie czy wcześniejsza w Smoligowie ciąży na okupancie niemieckim, ponieważ została popełniona przez członków ukraińskich formacji policyjnych w służbie niemieckiej i dowodzonych przez Niemców, podobnie jak zbrodnie członków oddziałów wartowniczych SS z Trawnik. Te ostatnie nie są bowiem zbrodniami jeńców sowieckich, głównie nierosyjskiej narodowości (w dużym stopniu Ukraińców), którzy w większości tworzyli wspomnianą formację „ludzi z Trawnik”, lecz zbrodniami niemieckimi wpisującymi się przede wszystkim w Zagładę ludności żydowskiej w GG. I dopiero taka informacja jest zgodna z faktami.

M.S.: Czy powinniśmy wskazywać na ukraińską narodowość sprawców, mimo że ULS został utworzony i dowodzony przez Niemców? Czy na jedno i drugie? To jest kwestia do dyskusji.

M.Z.: Jak już wspomniałem, zbrodnie popełniane przez policyjne i wojskowe formacje ukraińskie w służbie niemieckiej były zbrodniami okupanta, ponieważ jednostki te podlegały dowództwu niemieckiemu i wykonywały niemieckie rozkazy. Sytuacja zmieniała się, kiedy dotychczasowi policjanci i żołnierze ukraińscy, na przykład z 5 pułku policji SS złożonego z pierwszego zaciągu ochotników do Dywizji SS „Galizien”, dezercerowali grupowo ze służby niemieckiej do UPA. Od tego momentu stawali się wyłącznie członkami ukraińskiej formacji partyzanckiej, zbrojnego ramienia OUN-B. Od tej chwili odium winy za wszelkie zbrodnie popełnione przez ukraińskich dezercerów/partyzantów UPA spadało na kierownictwo podziemia

banderowskiego. Dopiero w takiej sytuacji możemy mówić o zbrodniach ukraińskich.

M.S.: Ale nie możemy mówić, że to była zbrodnia niemiecko-ukraińska.

M.Z.: W istocie, ponieważ jest to zlepek słów pochodzący z języka sowieckiej propagandy, w którym członków OUN-B i partyzantów UPA określano jako „niemiecko-ukraińskich faszystów”.

M.S.: Opór środowisk lokalnych przed zgodą na upamiętnienie czy choćby zadbanie o mogiłę partyzantów UPA poległych w Liskach w lutym 1946 r. w walce z Sowietami jest w pewnym sensie dla mnie zrozumiały. Niektórzy upowcy bowiem mogli w maju 1945 r. brać udział w zbrodniach na Polakach w Łachowcach, Rzeplinie, Radkowie czy Brodzicy. W przypadku sotni „Wowky” istnieje jeszcze problem polskich milicjantów, którzy zginęli w walce z partyzantami UPA.

M.Z.: Milicjantów, którzy w większości wywodzili się z działających na tym terenie w okresie okupacji niemieckiej struktur AK i BCh czy powiązanych z nimi samoobron. Pozostali zaś z partyzantki komunistycznej – Gwardii Ludowej/Armii Ludowej.

M.S.: Mamy bowiem milicjantów, którzy w kwietniu 1945 r. zginęli z rąk partyzantów Wołodymyra Sywaka „Zirki” (WOP OUN-B). Co najmniej dwóch z nich wywodziło się z polskiej partyzantki komunistycznej (AL). Zatem w jaki sposób i czy upamiętniać milicjantów, którzy polegli w walce z UPA? Tylko dlatego, że polegli w walce z banderowcami, zapominając, że byli częścią komunistycznego aparatu represji? Czy brać pod uwagę, że zginęli, jak się nieraz podnosi, w walce o bezpieczeństwo własnych rodzin i swoich wsi, zapominając przy tym, że w czasie wojny występowali w interesie ZSRR, a nie państwa polskiego (II RP) jako członkowie zbrojnej bojówki PPR? Sądzę, że tutaj także powinniśmy iść tropem prof. Tomasza

Stryjka. Nie oceniać przez pryzmat przynależności politycznej czy organizacyjnej, ale jedynie ze względu na bilans osobistych czynów.

M.Z.: Pańskie dylematy dowodzą jedynie, że prawdziwa historia nie jest przekazem czarno-białym, lecz mieniącym się wieloma odcieniami szarości. Możemy wspomnieć tutaj chociażby o Polakach z Tarnopolskiego, którzy po 1944 r. w dużej liczbie zasilili istriebitielnyje bataliony. Ich członkowie wywodzili się z AK i polskich samoobron. Poszli do IB, gdyż odczuwali bardzo realne zagrożenie ze strony ukraińskiego podziemia. Od Sowietów otrzymali broń, tak potrzebną do obrony własnych rodzin. Niemniej używali jej również do zadawania śmierci okolicznym chłopom ukraińskim w akcie ślepej zemsty za banderowskie akty terroru wobec ludności polskiej lub za rzeczywiste czy jedynie domniemane związki z partyzantką. Jeszcze zimą 1944/1945 r. w dawnym województwie tarnopolskim doszło do napadów na Polaków, które swoim charakterem przypominały wcześniejszą masową akcję antypolską. Jednocześnie doniedawni akowcy, występując przeciwko Ukraińcom jako członkowie IB, działali jako funkcjonariusze sowieckiego aparatu represji i jako tacy niektórzy z nich ginęli z rąk partyzantów ukraińskich. To jest właśnie ta niejednoznaczność, wielowątkowość i splątanie losów ludzkich, w tym konkretnym przypadku dotyczące aktorów konfliktu polsko-ukraińskiego.

M.S.: Stąd też rodzi się pytanie, jak mamy o nich mówić, jak i czy ich upamiętniać, a może dekomunizować pomniki ludzi, którzy walczyli w formacjach komunistycznych przeciwko ukraińskiemu podziemiu i w tej walce zginęli.

M.Z.: To są pytania otwarte. Raczej nie rozstrzygniemy tego sporu w czasie naszej i tak długiej rozmowy. To jest temat na odrębną dyskusję czy też dłuższe Polaków i nie tylko Polaków rozmowy. Na zakończenie mam jeszcze pytanie o realne zagrożenia płynące dla wolności badań naukowych, a także dla samych historyków, którzy podejmują niełatwą tematykę relacji etnicznych Polaków z mniejszościami narodowymi w czasie wojny

i okupacji oraz we wczesnych latach powojennych. Pytanie nie jest przypadkowe, gdyż między innymi Pan stał się jedną z ofiar „walki” z tzw. pedagogiką wstydu w odniesieniu do relacji polsko-ukraińskich w latach czterdziestych XX w. Został Pan wiosną 2021 r. zwolniony z pracy w lubelskim oddziale IPN, nieoficjalnie za „niewłaściwe” podejście do stosunków polsko-ukraińskich. To znaczy jakie?

M.S.: Myślę, że kwestie odpowiedzialności historyka za słowa czy też przypisywania mu działania na szkodę czyichś interesów to temat na solidną, obszerną rozprawę, być może na książkę. Jeszcze dwadzieścia lat temu na czoło sporu o historię, sporu o przeszłość wysuwały się relacje polsko-żydowskie czy polsko-niemieckie, wewnątrzpolskie spory o stosunek do komunizmu czy do konkretnych osób działających w okresie komunistycznym przeciwko władzy komunistycznej. W jednej ze swoich publikacji opisał to niegdyś prof. Paweł Machcewicz. Relacje polsko-ukraińskie nie występowały jako stały, wieloletni element sporu o przeszłość. Zresztą one tak naprawdę nigdy nie były bardzo istotne. Na pewno nie tak jak na przykład relacje chorwacko-serbskie w czasie II wojny światowej dla współczesnej Serbii i Chorwacji. Historyk, jego działalność publiczna, jego piśmiennictwo, wypowiedzi czy odbiór społeczny i ewentualne konsekwencje jego słów dla niego samego w ostatnim czasie nabierają coraz większego znaczenia. Jeszcze kilka lat temu spór sądowy o prawdę historyczną między dr. Sławomirem Poleszakiem a prof. Mirosławem Piotrowskim można było uznać, ja to przynajmniej tak odbierałem, za swoiste kuriozum, gdyż rzetelny historyk z IPN został pozwany do sądu przez pracownika naukowego KUL za napisanie krytycznej recenzji dotyczącej jego bardzo słabej książki o dziejach NSZ na Lubelszczyźnie.

M.Z.: Dodajmy, do której prof. Piotrowski nie raczył się nawet ustosunkować na piśmie w periodyku naukowym, a miał do tego pełne prawo. Najwyraźniej uznał, że sala sądowa to właściwe miejsce do rozstrzygnięcia tego typu sporów. I dlatego przegrał

z kretesem.

M.S.: Wtedy mieliśmy pierwszy taki wypadek, jeszcze odosobniony. W ostatnim czasie obserwujemy jednak wyraźne nasilenie ataków ze strony środowisk „prawdziwych patriotów” czy wspieranych przez państwo rozmaitych fundacji i organizacji złożonych z „obrońców dobrego imienia Polski i Polaków”, bardzo aktywnych w odniesieniu do złożonych relacji polsko-żydowskich, zwłaszcza kwestionowania współudziału niektórych Polaków w ostatnim etapie Zagłady w Generalnym Gubernatorstwie. Mam tutaj na myśli ataki na prof. Jana Grabowskiego i prof. Barbarę Engelking czy ostatni, związany z publikacją dr. Sławomira Poleszaka o okupacyjnych losach Józefa Franczaka „Lalusia”, która zawierała informacje o antysemickich wątkach jego działalności. Zatem będącej nie do przyjęcia dla strażników pamięci o polskim podziemiu antykomunistycznym, gdyż dotyczącej ostatniego „wyklętego”, uznawanego jednocześnie za symbol mitycznego „powstania antykomunistycznego 1944–1963”. Wspomniane przykłady niestety prowadzą nas do smutnej konstatacji, że nawet publikowanie wyników badań naukowych w czasopiśmie specjalistycznym nie uchroni rzetelnych i niezależnych historyków przed atakami określonych osób czy środowisk, w tym przez dyżurnych historyków rządowych wspieranych przez instytucje i władze państwowe.

M.Z.: Warto w tym miejscu dodać, że za publikację o Józefie Franczaku „Lalusiu” oraz pełnienie funkcji redaktora naczelnego niezależnego portalu ohistorie.eu dr Sławomir Poleszak został jesienią 2021 r. zwolniony z pracy w Oddziale IPN w Lublinie. Stało się tak między innymi wskutek opublikowania przez dwóch historyków-urzędników IPN quasi-recenzji, a raczej paszkwilu na temat wspomnianego artykułu o Franczaku. Jak Pan myśli, z czego to wszystko wynika?

M.S.: Przyczyna jest prozaiczna. Tak jak w przypadku roku 2018 i sporu dr. Grzegorza Kuprianowicza z ówczesnym wojewodą lubelskim dr. hab. Przemysławem Czarnkiem, który złożył do

prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa i podał pod jej osąd słowa wypowiedziane 8 lipca 2018 r. przez wspomnianego polskiego historyka pochodzenia ukraińskiego podczas uroczystości religijnych na cmentarzu prawosławnym w Sahryniu z udziałem między innymi ówczesnego prezydenta Ukrainy Petra Poroszenki. Ostatecznie prokuratorzy nie dopatrzyli się znamion przestępstwa w wypowiedzi dr. Kuprianowicza. Działania wojewody Czarnka były więc obliczone jedynie na zdobycie pokłasku, rozgłosu i pomnożenie kapitału politycznego przed wyborami do sejmu w 2019 r. Kosztem ukazania w niekorzystnym świetle przedstawiciela mniejszości ukraińskiej w Polsce stał się on bardziej znany w środowiskach nastawionych antyukraińsko (kresowych i ultrapravicowych), zyskując tym samym ich poparcie. Dostyc łatwo jest grać na emocjach i wykorzystywać wrażliwość osób mających tragiczne doświadczenia i wspomnienia z przeszłości, skrzywdzonych przez banderowskie podziemie na Wołyniu, w Galicji Wschodniej czy na Lubelszczyźnie, jak również wśród ich potomków. Spotykam się też z atakami na mnie za to, w jaki sposób piszę o konflikcie polsko-ukraińskim na Chełmszczyźnie. Dochodziło nawet do prób blokowania sprzedaży moich publikacji naukowych. Sam zamiar napisania książki *Śladem UPA* zrodził się jeszcze w okresie mojego zatrudnienia w IPN. Niestety nie znalazł on zrozumienia w kierownictwie Instytutu.

M.Z.: Dodajmy, że nie jest Pan już pracownikiem IPN.

M.S.: Nie jestem już pracownikiem IPN Lublin z powodu „utrąty zaufania pracodawcy” (byłego już dyrektora Oddziału IPN w Lublinie mgr. Marcina Krzysztofika), który wręczył mi wypowiedzenie w marcu 2021 r. Z tego powodu od 30 czerwca nie jestem już pracownikiem Instytutu.

M.Z.: Rozumiem, że zarówno tematyka ukraińska, sposób, w jaki Pan ją podejmował w swoich pracach naukowych i popularyzatorskich, jak i to, że pochodzi Pan z rodziny częściowo etnicznie ukraińskiej, miały istotny wpływ na decyzję ówczesnego dyrektora Oddziału IPN w Lublinie o Pańskim

zwolnieniu z pracy?

M.S.: To będzie musiał rozstrzygnąć sąd. Mogę się jedynie domyślać, że miały one znaczenie, ponieważ na przestrzeni ostatnich kilku lat docierały do mnie takie głosy. W każdym razie oficjalne powody wskazane w wypowiedzeniu umowy o pracę nie mówiły o tym. W moim przekonaniu powody podane w wypowiedzeniu nie były prawdziwe, wskazano w nim kwestie dyscyplinarno-porządkowe, które w żaden sposób nie oddają istoty sprawy. Jak wspomniałem, w moim przekonaniu graniczącym z pewnością zarówno tematyka, którą podejmuję w swoich publikacjach, jak i moje korzenie miały istotny, a nawet decydujący wpływ na zwolnienie z pracy w IPN. Pierwszy sygnał, o tym, że kierownictwo IPN krytycznie odnosi się do moich badań, odebrałem kilka lat temu, kiedy zasugerowałem, aby tłumaczenie kroniki upowskiej *Śladem UPA* wydać poza IPN, w ramach dodatkowego zajęcia zawodowego. Ówczesny prezes IPN dr Jarosław Szarek nie wyraził na to zgody.

M.Z.: Jakie powody przedstawiono, uzasadniając brak zgody prezesa IPN na wydanie Pańskiej książki poza Instytutem?

M.S.: Stwierdzono, że jako pracownik IPN powinienem wydawać książki w Instytucie, mimo że znam wiele przykładów, kiedy innym pracownikom IPN nie czyniono żadnych przeszkód w analogicznych sytuacjach. Prezes IPN nie wyraził zgody na podjęcie przeze mnie dodatkowego zatrudnienia, nie przedstawiając żadnych przekonujących argumentów na poparcie swojej decyzji. Doświadczyłem wówczas swoistej uznaniowości, której kryteriów nie poznałem. To był jeden z pierwszych namacalnych przejawów działań o charakterze dyskryminacyjnym w odniesieniu do mnie, który przypuszczalnie miał mi uświadomić, że nie jest mile widziane to, w jaki sposób uprawiam badania naukowe i popularyzuję ich wyniki. Nie chcę tutaj szerzyć teorii spiskowych czy scenariuszy, których nie jestem w stanie zweryfikować. Niemniej sprzedaż mojej książki *Śladem UPA* została wstrzymana kilka godzin po wejściu na rynek wydawniczy w jednej z księgarni internetowych. Można było odnieść

wrażenie, że ktoś na nią czyhał...

M.Z.: Z jakiego powodu wstrzymano sprzedaż Pańskiej książki?

M.S.: W następstwie donosu, w którym insynuowano, że treści zawarte w mojej książce łamią polskie prawo. Miały one jakoby gloryfikować ideologię faszystowską. Sprzedaż została wznowiona po kilku godzinach, gdyż anonimowa informacja na temat mojej książki była nieprawdziwa. To był kolejny przejaw szykan pod moim adresem. Tym razem ktoś próbował zablokować czytelnikom dostęp do mojej książki wkrótce po tym, jak się ukazała. Wcześniej, po zapowiedzi jej wydania i tytułu, pojawiało się w cyberprzestrzeni wiele głosów krytycznych, nawołujących do jej zbojkotowania, w tym kierowanych bezpośrednio do wydawcy. W istocie był to klasyczny hejt uderzający we mnie, w którym z gruntu odrzucano zasadność ukazania się mojej publikacji na polskim rynku wydawniczym. Można by to uznać za marginalny eksces, gdyby nie fakt, że rozmawiamy o mojej książce w plenerze, ponieważ jedna z instytucji państwowych odmówiła nam spotkania wokół książki w swoich murach. Zakomunikowano mi, że powodem takiej decyzji jest zarówno niewygodny temat, jak i moja osoba, wokół której zrobiło się głośno po wyrzuceniu z IPN. Zamieszanie wokół mnie i książki *Śladem UPA* najpewniej bierze się stąd, że w ramach stypendium polsko-ukraińsko-kanadyjskiej fundacji „Kałyna” zająłem się przygotowaniem monografii o zbrodni popełnionej przez AK i BCh na ludności ukraińskiej w kilkunastu wsiach powiatu hrubieszowskiego w marcu 1944 r. Wywołało to emocjonalną reakcję środowisk postkombatanckich, z posłem PiS Sławomirem Zawiślakiem na czele. Zareagował on bardzo emocjonalnie na wywiad, którego udzieliłem „Gazecie Wyborczej” w marcu 2021 r. Na stronie internetowej Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręgu Zamość zapowiadał, odwołując się do Pisma Świętego, rozprawienie się z historykami takimi jak ja, czyli „wrzucenie w ogień jak drzew niewydających owoców”. Nie wspomnę już o anonimowych pogróżkach pod moim adresem, w tym dotyczących utraty życia, które docierały do

mnie pod koniec grudnia 2020 r. za pośrednictwem Internetu.

M.Z.: Kiedy słucham opowieści o Pańskich perturbacjach związanych z wydaniem książki oraz o próbie zablokowania jej sprzedaży wkrótce po jej ukazaniu się, ale też mając z tyłu głowy okoliczności zwolnienia z pracy dr. Poleszaka, przychodzi mi na myśl historia innej publikacji książkowej poświęconej działalności ukraińskiego podziemia w Polsce po lipcu 1944 r. Mam tutaj na myśli kulisy wycofania z półek księgarskich PRL obszernej i w dużej mierze aktualnej do dziś, jeśli pominąć warstwę ideologiczną i pewne nieścisłości, monografii Antoniego B. Szcześniaka i Wiesława Z. Szoty *Droga donikąd. Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i jej likwidacja w Polsce* (1973). Książka ta cieszyła się dużym powodzeniem wśród czytelników, zanim postanowiono, że powinna zniknąć z księgarń. Choć wspomniana historia działa się w epoce wydawałoby się dawno minionej, to przy zachowaniu wszelkich proporcji, widzę niestety pewne podobieństwa między innymi do obecnej Pana sytuacji jako niezależnego historyka. Książkę Szcześniaka i Szoty wycofano z księgarń, opierając się na wewnętrznej recenzji (uwagach do książki) sporządzonej na potrzeby MSW PRL w maju 1973 r. Jej autorem był dawny członek podziemia ukraińskiego i jednocześnie wieloletni współpracownik aparatu przemocy Polskiej Ludowej – Jarosław Hamiwka „Wyszynskyj” vel Jan Świtalski „Huragan”. Czytamy w niej: „dając do rąk czytelnika dzisiaj książkę »Droga donikąd« [dzisiaj moglibyśmy wpisać w tym miejscu tytuł Pana książki – M.Z.], damy mu historię, którą odkryje sobie inaczej, jak była mu wtłaczana. Przeciętny obywatel wiedział i wie do dziś, że na południowo-wschodnich terenach Polski grasowały bandy UPA, że były to bandy ukraińskich faszystów, którzy mordowali ludność polską, grabili i palili wsie. Takie mniemanie o bandach utrwalił wiernie film *Łuny w Bieszczadach* [chodzi o powieść Jana Gerharda *Łuny w Bieszczadach* (1959) i nakręcony na jej motywach film Ewy i Czesława Petelskich *Ogniomistrz Kaleń* (1961) – M.Z.] [...] Taki zasób wiadomości o podziemiu ukraińskim w zupełności przeciętnemu obywatelowi wystarczał i

wystarcza do dziś. Z tego tytułu władza ludowa [dzisiaj można by powiedzieć – każda autorytarna władza – M.Z.] nic nie jest dłużna obywatelowi i nie zachodzi potrzeba poszerzać informacji w tym zakresie”. W końcowym fragmencie uwag do książki Szcześniaka i Szoty agent „Huragan” stwierdzał: „Przesadny realizm w ocenie ówczesnej sytuacji jest dziś obywatelowi niepotrzebny”.

Dlatego nieprzypadkowo na koniec naszej rozmowy pozwoliłem sobie na zacytowanie powyższego dokumentu służb specjalnych PRL. Uznałem bowiem, że może on znakomicie zilustrować również negatywny stosunek do Pańskiej książki, a także do publikacji innych niezależnych historyków, którzy w swoich badaniach nie podejmują zagadnień związanych z problematyką ukraińską. Owa niechęć jest wyrażana nie tylko przez tzw. prawdziwych patriotów ze środowisk kresowo-nacjonalistycznych, ale też przez władze instytucji państwowej (IPN), której jednym z pierwotnych i zarazem podstawowych zadań były niczym nieskrępowane badania naukowe dotyczące najnowszych dziejów Polski i oparta na tych badaniach edukacja historyczna. Niestety pierwotna misja ongiś ważnej instytucji użyteczności publicznej została poświęcona na ołtarzu mitologii politycznej, której jedną z podstawowych i niezmiennych cech jest kult bohaterów i przeświadczenie o moralnej i intelektualnej wyższości ultranarodowej narracji wobec równoległej i wyważonej opowieści o relacjach etnicznych Polaków z mniejszościami narodowymi, etnicznymi i wyznaniowymi. Misja ta uległa również pogłębiającemu się po 2016 r., szczególnie jaskrawo widocznemu po lipcu 2021 r., procesowi infantylizacji przekazu o historii najnowszej Polski i jego przesiąkania ultraprawicową (endecko-oenerowską) ideologią. Ów proces ma niestety wyraźne znamiona samodestrukcji. Dlatego niepokój powinno budzić to, że obecny prezes IPN Karol Nawrocki – jak należy mniemać, przekonany antykomunista, w dodatku mający stopień naukowy doktora w zakresie nauk humanistycznych – z powodu swojej niewiedzy chwalił bezrefleksyjnie książkę, której autor, „znany znawca”

zagadnienia ukraińskiego, w tym dziejów Kościołów obrządku wschodniego na dawnych ziemiach wschodnich II RP, prof. KUL Mieczysław Ryba (od niedawna, po ponad dziesięciu latach przerwy, ponownie członek Kolegium IPN), bezkrytycznie i zdumiewająco często odwoływał się do „badań historycznych” Edwarda Prusa, dodajmy, „eksperta” MSW PRL do spraw ukraińskich. Biorący zaś udział w debacie wokół wspomnianej książki inny prof. KUL, Przemysław Czarnek (obecny szef resortu edukacji i nauki), również ją chwalił, mimo że – jak sam przyznał – książki nie czytał. Należy przy tym podkreślić, że już pod koniec lat sześćdziesiątych XX w. poważne zastrzeżenia do wartości prac Edwarda Prusa jako eksperta do spraw ukraińskich miały nawet służby specjalne Polski Ludowej. Mowa tutaj o osobie, która w okresie przełomu ustrojowego w Polsce przeszła płynnie z pozycji wyznawcy ideologii narodowego komunizmu do miłośnika polskiego nacjonalizmu i odegrała znaczącą rolę w utrwalaniu peerelowskiego stereotypu „ukraińskich nacjonalistów” wyłącznie jako niemieckich kolaborantów i zbrodniarzy. Wydawałoby się, że prezes IPN i jednocześnie historyk powinien co najmniej orientować się w publikacjach naukowych, które zostały wydane przez Instytut w poprzednich latach. A były takie, choć wydane w okresie, kiedy obecny pan prezes nie był nawet szeregowym pracownikiem w Biurze Edukacji Publicznej IPN (nie mylić z Biurem Edukacji Narodowej IPN powstałym w połowie 2016 r.). W nich to właśnie została ukazana rola, jaką Edward Prus odegrał w PRL w obszarze relacji polsko-ukraińskich. Ale to chyba zbyt wygórowane oczekiwania wobec specjalisty do spraw zarządzania zasobami ludzkimi, który – jak się wydaje – jest zainteresowany przede wszystkim własną karierą polityczną? Do tej zaś instytucja państwowa, którą tymczasowo kieruje jedynie z woli partii sprawującej obecnie władzę w kraju, wydaje się niezbędna.

Kończąc naszą rozmowę tym niezbyt optymistycznym akcentem, bardzo Panu za nią dziękuję.

M.S.: Również bardzo dziękuję za rozmowę.

[1] Rozmowa z dr. Mariuszem Sawą została przeprowadzona przed agresją Rosji na Ukrainę, która nastąpiła 24 lutego 2022 r. Dlatego nie odnosimy się w niej do polityki pamięci państwa polskiego w kontekście wydarzeń o znaczeniu międzynarodowym rozgrywających się po tej dacie za naszą wschodnią granicą, gdyż to temat na osobną rozmowę. Z tego powodu czytelnicy nie znajdą w zapisie rozmowy informacji ani komentarzy dotyczących m.in. konkursu historycznego „Wołyń – pamięć pokoleń”, adresowanego m.in. do uczniów najstarszych klas szkół podstawowych i przeprowadzanego pod honorowym patronatem MEiN także w obliczu wojny na Ukrainie i napływu do polskich szkół dzieci i młodzieży ukraińskich uchodźców. Konkursu, który ma nierozzerwalny związek z tematem naszej rozmowy, a którego rozstrzygnięcie miało nastąpić 16 maja 2022 r.

[2] Zob. także: *Wycinek złożonej polsko-ukraińskiej mikrohistorii wschodniej Lubelszczyzny w świetle kroniki jednego z oddziałów Ukraińskiej Armii Powstańczej* (rozmowę z dr. Mariuszem Sawą, autorem książki *Śladem UPA. Kronika sotni Ukraińskiej Powstańczej Armii »Wowky« (24 sierpnia 1944 – 11 lipca 1945)* przeprowadził dr Mariusz Zajączkowski, ISP PAN).

Deskrypcja wywiadu: Michał Bednarczyk

Korekta językowa: Beata Bińko